

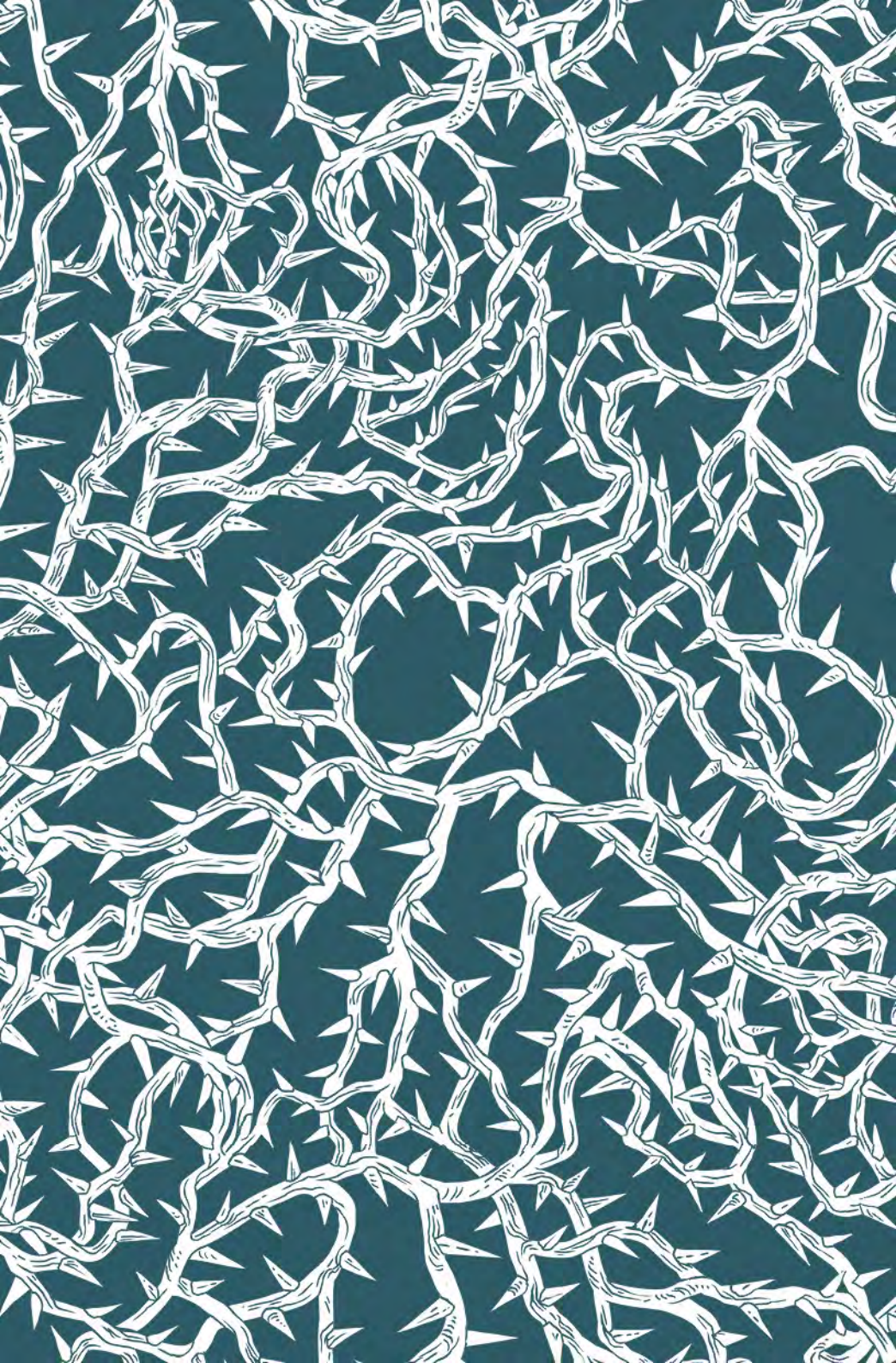


VICTOR
DIXEN

AGENCJA PERDIDO

DROGA PRZEZ MROK

KROPKA



VICTOR DIXEN

AGENCJA PERDIDO



TOM 1

DROGA PRZEZ MROK

Z języka francuskiego przełożyła
Natalia Zmaczyńska

KROPKA



OTWÓRZCIE OCZY!

Ta opowieść zawiera kilka ilustracji dziwnego
i niebezpiecznego świata straszydeł.

Czy będziecie umieli odnaleźć zagubione przedmioty
i ukryte zagrożenia czyhające
w najciemniejszych zakamarkach lochów?

Dla E.

Dla Ulysse'a, Charlotte i Mathildy.

*Dla tych, którzy wiedzą,
że nadzieja nigdy nie jest stracona.*

Tytuł oryginalny: *Agence Perdidó. Les derniers retrouvés*

Tekst: Victor Dixen

Ilustracje: Noémie Chevalier

Projekt graficzny: Nord Compo

Przekład: Natalia Zmaczyńska

Wydawczyni: Katarzyna Biegańska

Redaktorka prowadząca: Joanna Rutkowska-Marchewka

Redakcja: Magdalena Jakuszew

Korekta: Agnieszka Czerepowicka, Joanna Rutkowska-Marchewka

Skład i łamanie: ESSI 3

Koordynatorka produkcji: Paulina Kurek

Les derniers retrouvés (Agence Perdidó, tom 1) © Bayard Jeunesse, 2024
All rights reserved.

Translation© Copyright by Natalia Zmaczyńska, 2026
For the Polish Edition © Copyright by Wydawnictwo Kropka, 2026

ISBN 978-83-68382-04-4

Wydawnictwo Kropka
Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11a, 01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
wydawnictwokropka.com.pl
Warszawa 2026
Wydanie pierwsze

Druk i oprawa: Abedik S.A.

SPIS TREŚCI

1. Wieczór, w którym straciłam mamę.....	7
2. Zapach siarki.....	15
3. Poszukiwanie zaginionych przedmiotów.....	23
4. Ciotka Doris.....	29
5. Wahadło.....	37
6. To, co drapie w nocy.....	45
7. Biuro rzeczy znalezionych.....	51
8. Rita Perdido.....	63
9. Przejście.....	75
10. Strażnicy.....	85
11. Ślepy zaułek.....	95
12. Więźniarka.....	105
13. Zwycięska drużyna.....	119
14. Poszukiwanie.....	131
15. Siostra Skalpel.....	137
16. Najśłodszy ze smaków.....	151
17. Uciekiniarka.....	165
18. Pożegnanie i spotkanie.....	175
19. Gildia.....	185
20. Powrót do domu.....	199
21. Niepokojący portal.....	213
22. Kraina Cierni.....	225
23. Jak króliki w norze.....	235

24. Tajemniczy poprzednicy	245
25. Ciernista Wieża	259
26. Klatka.....	267
27. Meg.....	275
28. Chwila prawdy	285
29. Arogancki gość	299
30. Kowr-Dreyn.....	307
31. Niebezpieczny pakt.....	325
32. Wieczna Biblioteka.....	341
33. Improwizowany chrzest	353
34. Młodość Auréliena	363
35. Przeklęte insygnia	375
36. Do ostatniej kropli.....	395
37. Iluzjonista.....	413
38. Sekret Rity.....	421
39. End Road 13	437
40. W stanie nieważkości	451
Raport z odnajdywania	463
Podziękowania	472



WIECZÓR, W KTÓRYM STRACIŁAM MAMĘ

Kiedy tamtego październikowego wieczoru rok temu autobus szkolny podjechał pod mój dom, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak: mama nie stała przed drzwiami. Mały, samotny domek, w którym mieszkaliśmy we dwie, znajdował się na końcu górskiej drogi w lesie Catskills we wschodniej części stanu Nowy Jork. O tej porze roku dach pokrywały martwe liście. Jesień trwała w pełni, przyroda płonęła kolorami, szykując się do zapadnięcia w zimowy sen. Z kamiennego komina unosił się dym. Jego smugi tańczyły w świetle latarni ustawionych na trawniku, po czym znikwały w zasnuwającej właśnie okolicę nocy.

Ten widok był mi znajomy. Nieobecność mamy – mniej. Każdego wieczoru zazwyczaj wypatrywała przez okno w kuchni przyjazdu żółtego autobusu szkolnego i wychodziła, aby powitać mnie w drzwiach domu. Jej postawę matki kwoki często odbierałam jako zawstydzającą. Mama

uwazała, że musi robić więcej, żeby zrekompensować mi nieobecność zmarłego tuż po moich narodzinach ojca. Ta nadmierna troska budziła moje zażenowanie. Obawiałam się, że kierowca i inni uczniowie wezmą mnie za smarkulę. Tamtego dnia nikt jednak na mnie nie czekał, a ja nie poczułam żadnej ulgi, wręcz przeciwnie – raczej dreszcz niepokoju na plecach. Zamarłam na stopniach autobusu, jakby jakaś część mnie odmawiała wyjścia.

– Wszystko w porządku, Lucy? – zapytał kierowca.

Czułam na karku wzrok uczniów obecnych w autobusie, tych, którzy – tak jak ja – mieszkali w najbardziej oddalonych miejscach i byli odwożeni jako ostatni. Spieszyło im się, by wrócić do siebie. Zerknęłam na wiatę i sprawdziłam, czy stoi pod nią samochód mamy. Tak, była w domu.

– Wszystko w porządku, panie Bobie – odpowiedziałam. – Do jutra.

Automatyczne drzwi zamknęły się za mną z ciężkim sapnięciem. Kierowca autobusu dodał gazu i odjechał krętą drogą. Zniknął za drzewami ginącymi w zapadającym zmierzchu. Blask reflektorów zgasł za jodłą, a pomruki silnika pochłonął las.

Nagła cisza sprawiła, że zadrżałam. Latem w Catskills słychać było śpiew ptaków i brzęczenie owadów. Jednak w sercu jesieni ciszę zakłócało jedynie skrzypienie gałęzi poruszanych wiatrem z północy. Ruszyłam pospiesznie

w stronę domu. Był to stary budynek w stylu górskiej chaty, który moi rodzice odnowili zgodnie z własnym gustem. Nieliczni goście uważali go zazwyczaj za czarujący, ale tamtego wieczoru wydawał mi się dziwnie ponury. Na progu drzwi wejściowych stały cztery dynie. Razem z mamą wycięłyśmy w nich wyszczerzone twarze, zgodnie z typową dla tej pory roku tradycją. Pozostały już tylko dwa tygodnie do nocy trzydziestego pierwszego października, to znaczy Halloween. Po raz kolejny miałyśmy ten czas spędzić we dwie, oglądając jakąś niezbyt przerażającą starą komedię grozy, jak *Gremliny rozrabiają* albo *Sok z żuka*. Mama wykorzystywała swoje umiejętności aktorskie, żeby naśladować głosy i tworzyć nowe postaci, aż zaśmiewaliśmy się do łez.

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie i przekręciłam gałkę. Drzwi były zamknięte. To normalne, mama zawsze nalegała, żebyśmy zamykały je na klucz, nawet kiedy byłyśmy w domu. W naszej oddalonej od zwartych zabudowań okolicy ostrożności nigdy za wiele, twierdziła.

Wyjęłam pęk kluczy z plecaka i otworzyłam drzwi, zdołbione wzorami z kutego żelaza.

– Meg?! – zawołałam, wchodząc do salonu.

Od kilku miesięcy miałam w zwyczaju zwracać się do niej zdrobnieniem „Meg”, od „Margaret”, zamiast „mamo”. Jeden ze sposobów na powolne odcinanie pępownicy. Bawiło ją to i czerpała osobliwą przyjemność z odpowiadania mi

pieszczotliwymi przydomkami w stylu: „Tak, mój cukiereczku?” albo „O co chodzi, pączusiu?”.

Tamtego wieczoru jednak nie usłyszałam żadnych słodkich ksywek. Tylko melodię – z wieży stereo płynęła muzyka klasyczna. Trzeba przyznać, że moja mama nadal posiadała pokaźną kolekcję płyt CD. Nasz leśny dom stał w takim odosobnieniu, że internet był tu bardzo słaby. Nie mogliśmy liczyć na żadną cyfrową platformę muzyczną, musieliśmy uciekać się do starych, dobrych metod.

– Meg, wróciłam – oznajmiłam nieco głośniej.

Na pewno była w domu – poza samochodem i muzyką świadczyły o tym zapalone wszystkie światła w salonie. W powietrzu unosił się zapach jesiennych przypraw: cynamonu, imbiru, goździków. Mama zapewne przygotowała na deser tartę dyniową, paździenikowy klasyk. Nawet czajnik elektryczny w kuchni był jeszcze ciepły.

– Mamo! – krzyknęłam na cały głos, łamiąc własną zasadę.

Nadal nic. Nic poza melodią płynącą z głośników w salonie. Wsłuchałam się i rozpoznałam *Jezioro łabędzie* Czajkowskiego. Romantyczny walc. Utwór się skończył, a potem rozpoczął na nowo. Dlaczego mama ustawiła wieżę tak, żeby odtwarzała jeden kawałek w kółko? I dlaczego nie odpowiadała na moje wołania? W melancholijne akordy skrzypiec wdarł się inny rytm, uderzeń mojego serca – w skroniach czułam jego coraz szybsze bicie.

Uświadomiłam sobie, że autobus szkolny jest już daleko. Zdawało mi się, że przez okna obserwuje mnie ciemna, cicha noc. W promieniu wielu kilometrów nie stał żaden inny dom. Jeśli z jakiegoś niezrozumiałego powodu mojej mamy nie było, oznaczało to, że jestem zupełnie sama. Zaledwie czternastoletnia dziewczyna w małym domku zagubionym w środku lasu.

Nagle od kuchennego okna dobiegł głuchy dźwięk:

Bum!

Krzyknęłam zaskoczona i przerażona. Na zewnątrz znajdował się ktoś, kto chciał wejść do środka. Ogarnął mnie irracjonalny strach z przeszłości: Władca Cierni! Nie myślałam o nim od lat, ale od razu mnie to zmroziło. Chodziło o potwora, którego mama wymyśliła, gdy byłam mała, aby odwieść mnie od samotnych spacerów po lesie... i wpoić mi, żebym zawsze zamykała drzwi na klucz. Czego zapomniałam zrobić teraz, po powrocie.

Bum!

Z trudem łapiąc oddech, odwróciłam się na pięcie i pobiegłam w stronę drzwi. Nie miały gałki z samozatraskującym się mechanizmem, takiej jak w wielu współczesnych domach, więc żeby zamknąć je od środka, trzeba było użyć klucza.

Gorączkowo przeszukiwałam dno plecaka. Miałam wrażenie, jakby ten przeklęty pęk kluczy celowo wyslizgiwał się z moich czterech palców – tak, czterech, bo

urodziłam się bez małego palca u prawej ręki. Zazwyczaj ta anomalia wcale mi nie przeszkadzała, nauczyłam się trzymać długopis jak inni uczniowie, ale tej ponurej nocy, w chwili paniki, miałam wrażenie, jakbym przeszła poważną amputację.

Bum!

W końcu trafiłam na klucze, włożyłam jeden do zamka i przekręciłam tak gwałtownie, że złamałam paznokcie. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby czuć ból. Ściśnięty żołądek utrudniał mi oddychanie. Za mną wciąż – w kółko – rozbrzmiewał walc Czajkowskiego.

„Władca Cierni nie istnieje” – mruknęłam cicho. „Jestem za stara, żeby wierzyć w te historie. Na zewnątrz nie ma nikogo”.

Jakby w odpowiedzi na moje słowa rozległo się czwarte uderzenie, tym razem w okno w salonie.

Bum!

Okazało się, że to mała szara wiewiórka puka pyszczkiem w szybę. Karmiłyśmy ją z mamą jesienią i zimą nasionami słonecznika oraz odrobiną masła. Spanikowałam bez powodu! Mój żołądek się rozluźnił. Westchnęłam głęboko.

Ale ulga nie trwała długo. W domu nadal nie było znaku życia. Podniosłam słuchawkę telefonu stojącego na stoliku w salonie i wybrałam numer Patricii, koleżanki mamy z pracy, z małego sklepu spożywczego w Grayfall, pół godziny drogi od naszego domu.

– Halo? – powiedział do słuchawki lekko zachrypnięty głos. Patricia dużo paliła.

– Dobry wieczór, Patricio. Z tej strony Lucy Lachance. Córka Meg.

– Wiem, kim jesteś, mała Lucy! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Patricia wciąż rozmawiała ze mną tak samo jak wtedy, gdy byłam mała. Wydawało się, że jeszcze do niej nie dotarło, że stałam się nastolatką.

– Czy moja mama jest nadal z panią w sklepie? – zapytałam.

– Przypominam ci, Lucy, że sklep zamyka się o szesnastej. Meg pojechała do domu ponad dwie godziny temu. A tak przy okazji, powinnaś kiedyś wpaść. Przyszły ciasteczka z orzechami makadamia, przepyszne! O ile dobrze pamiętam, to twoje ulubione, prawda?

Mój żołądek, wcześniej lekko rozluźniony, znowu się zacisnął.

– Meg zniknęła – zdołałam powiedzieć słabym głosem.

Ogłoszenie tego horroru, ubranie go w słowa sprawiło, że zaszlochałam. Kiedy pomyślałam o wszystkich tych sytuacjach, w których wstydziłam się nadopiekuńczości mamy! Och, nigdy więcej nie będę narzekała, że czeka na mnie na progu!

– Co masz na myśli, mówiąc zniknęła? – głos Patricii zatrzeszczał w słuchawce.

Koniec z żartami i ciasteczkami. Zrozumiała, że sytuacja jest poważna.

– Kiedy wróciłam, wszystko było włączone – wyjaśniłam. – Ale mamy nie ma.

– Sprawdziłaś w całym domu?

– Tylko na parterze – wyjąkałam. – Ale... wołałam ją kilka razy.

Wypowiadając te słowa, poczułam się głupio. A co, jeśli mama jest w domu, tylko zasłała i nie może mi odpowiedzieć? Co, jeśli pilnie potrzebuje pomocy? Może jej życie wisi na włosku, a ja marnuję czas, jęcząc w słuchawkę?

– Pójdę i sprawdzę na górze – wysapałam. – Proszę, niech się pani nie rozłącza.

– Nie! Zostań, gdzie jesteś, zadzwonię na numer alarmowy po pomoc i...

Nie usłyszałam końca zdania, bo położyłam słuchawkę obok telefonu i rzuciłam się w stronę schodów.



ZAPACH SIARKI

Włączyłam światło i wbiegłam na piętro.

– Mamo! – krzyknęłam. – Jeśli jesteś na górze, nie martw się, już idę!

Otworzyłam drzwi jej pokoju: był pusty. Mój również, tak jak i nasza wspólna łazienka. Zamierzałam wrócić na dół, do rozmowy z Patricią, gdy nad moją głową coś zaskrzypiało. Strych. Nie pomyślałam, by sprawdzić to ostatnie pomieszczenie, które służyło nam za schowek, a do którego nigdy nie wchodziłam... Co do tych hałasów, to na pewno sprawa szczura lub kuny, prawda? Po tym, jak spanikowałam z powodu zwykłej wiewiórki, nie stchórzę przez taką błahostkę.

Ruszyłam w stronę drzwi na samym końcu korytarza. Otworzyły się ze skrzypnięciem. Za nimi w ciemności wznosiły się schody. Na poddaszu nie miałyśmy instalacji elektrycznej. Poszukałam po omacku zardzewiałej latarki, którą mama trzymała na gwoździu. Z żarówki wystrzelił

migoczący strumień światła, bateria była ewidentnie na wyczerpaniu. Cóż, to wystarczy, żeby rzucić szybko okiem na strych, gdzie z pewnością nie było nic do zobaczenia. Zresztą skrzywienie ustało.

Wchodziłam po kolejnych stopniach przy akompaniamencie stłumionych dźwięków walca Czajkowskiego dobiegających z parteru.

– Meg? – zawołałam, ale nie czekałam na odpowiedź.

Omiotłam pomieszczenie anemicznym światłem latarki. Tu zepsuta deska do prasowania... Tam siatka do badmintonu, której nie wyciągniemy do lata... Dalej, w przezroczystych plastikowych pokrowcach, stopy starannie złożonych koców...

Nagle, kiedy strumień światła padł na stary rower, stos bagaży za nim zawałił się jak domek z kart. Podłoga zadrżała, a pode mną ugięły się nogi. Gdy ostatnia walizka upadła na ziemię, deski przez moment nadal jeszcze lekko drgały. Wstrzymałam oddech, moja przepona zacisnęła się jak pięść. Nie było możliwości, żeby to pod łapkami szczerów deski tak głośno trzeszczały. Ugiwały się pod ciężarem człowieka, i to o wadze co najmniej stu kilogramów. Intruz musiał się ukryć za stertą walizek, kiedy weszłam na piętro. A teraz wycofywał się w cień strychu.

W mgnieniu oka zrozumiałam, dlaczego Patricia błagała mnie, żebym została na dole. Wyobraziła sobie najgorsze. Włamanie. A ja, ptasi mózdzek, właśnie szłam prosto do jaskini lwa.

Latarka zaczęła drżeć mi w dłoni.
Promień światła przede mną zamigotał.
Na usta cisnęły mi się niewyraźne słowa:
– Ja... ja... ostrzegam...

Sparaliżowana ze strachu, nie byłam w stanie uciec. Mogłam tylko gorączkowo omiatać strych snopem słomkowego blasku, próbując zobaczyć, kto się tam ukrywa. Ale światło było za słabe. I przygasało z każdą sekundą. Bateria się wyczerpywała. Za moment znajdę się w całkowitych ciemnościach.

Nagle podłoga znów zaczęła głośno skrzypieć. Intruz szedł w moim kierunku. Deski drżały pod jego ogromnym ciężarem. Co gorsza, usłyszałam też, jak coś głucho uderza o belki znajdujące się ponad trzy metry nade mną. Jak gdyby głowa nieznajomego waliła o sufit. W tej samej chwili promień światła na końcu mojej dłoni całkowicie zgasł. To był impuls, który wyrwał mnie z odrętwienia. Wydałam z siebie przenikliwy krzyk, upuściłam bezużyteczną latarkę i rzuciłam się w stronę schodów.

Ale pomieszczenie zagracały stopy toreb i meble, istny tor przeszkód, pośród którego nie sposób było odnaleźć drogę, jeśli nie widziało się wyraźnie. Wpadłam na zaszytą w mroku przeszkodę, potknęłam się i uderzyłam mocno podbródkiem o podłogę, aż przez szczękę przeszła mi fala bólu. Zadzwoniło mi w głowie. Podłoga za mną skrzypiała

coraz głośniejsze, belki rezonowały jak drewniane płytki gigantycznego ksylofonu... Intruz zbliżał się, przewracając wszystko na swojej drodze.

Zdyszana, próbowałam wstać.

Drzazgi wbiły mi się w dłonie.

Moje płuca również zdawały się naszpikowane tysiącem drzazg.

Każdy wdech wydawał się trudniejszy niż poprzedni, bo panika ścisnęła mi klatkę piersiową, a nozdrza... wypełniał ostry zapach. To on, intruz, go wydzielał, byłam pewna. Duszący zapach siarki.

Mówi się, że pamięć zapachów jest najbardziej pierwotna, bezpośrednio połączona z najgłębszymi rejonami mózgu. Z niewyobrażalną siłą odżyło we mnie pewne wspomnienie: truchło sarny w połowie pożarte przez lisa, na które trafiłyśmy z mamą podczas spaceru po lesie, gdy miałam sześć lat. Szczegóły wyglądu padliny pojawiły się w mojej pamięci z przerażającą dokładnością. Odstłonięte kości żeber... Szkliste oczy zwrócone ku niebu... I boki opuchnięte od gazu gnilnego.

To był ten sam zapach, który przyprawiał mnie o mdłości teraz, gdy kłęczałam na czworakach na ciemnym strychu, jakby... jakby nadchodziła moja własna śmierć.

– Nie... – załkałam. – Nie chcę umierać.

Nadludzkiem wysiłkiem w końcu udało mi się wstać. Rzuciłam się w stronę schodów, wstrzymując oddech,

by nie zemdleć. W tej panicznej ucieczce ledwo czułam, jak obijam się o rogi stołów i komód.

Zbiegłam po schodach, trzymając się ściany i niemal upadając przy każdym kroku. Gdy tylko dotarłam na pierwsze piętro, zatrzasnęłam za sobą drzwi, wpadłam do swojego pokoju i chwyciłam krzesło. Sekundę później wybiegłam z nim na korytarz i wcisnęłam jego oparcie pod klamkę drzwi na strych, żeby je zablokować.

Potem pognałam jak oparzona na dół. Dopiero wtedy, w uspokajającym świetle lamp, uświadomiłam sobie ból. Moje ciało było całe poobijane. Z rozciętego podczas upadku podbródka ciekła strużka krwi.

Walc Czajkowskiego wciąż rozbrzmiewał z wieży stereo, ale do dźwięków orkiestry dołączyło przenikliwe wycie syreny policyjnego radiowozu, który jechał z zawrotną prędkością drogą prowadzącą do domu.



Powiadomiona przez Patricję policja niczego nie znalazła. Żadnego śladu włamania. Ani najmniejszego śladu kradzieży. A przede wszystkim nikogo na strychu. Był pusty. Intruz, którego z pewnością słyszałam, zniknął równie tajemniczo jak moja mama.

– Przysięgam, że ktoś tam był – powiedziałam do policjanta.

– Jaki „ktoś”, młoda damo? Podasz mi jego rysopis?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Jak mogłam mu wytłumaczyć, że wyczuwam obecność olbrzymiej istoty, znacznie większej niż jakikolwiek człowiek?

– Nie widziałam go, ale słyszałam i... poczułam – odparłam, bliska łez.

– W ciemnościach można sobie wyobrazić dużo rzeczy. Zwłaszcza w twoim wieku, gdy zbliża się Halloween.

Strych, oświetlony policyjnymi latarkami, wydawał mi się mniejszy. Jak gdyby światło go skurczyło. Jak gdyby wszystko, co myślałam, że tam przeżyłam, było tylko sennym koszmarem.

– Proszę powąchać! – krzyknęłam. – Nadal czuć ten zapach. Jest słabszy, ale nie zniknął zupełnie.

Komisarz ze znużeniem wciągnął powietrze. Pod oczami miał sine worki. Dla niego był to z pewnością koniec długiego dnia pracy.

– Taaa... czuć tu może słaby zapach zgniłego jaja. Pewnie gdzieś leży zdechły szczur. – Westchnął i dodał: – Mam na głowie dość spraw związanych z ludźmi, nie będę jeszcze wszczynał śledztwa dotyczącego gryzoni. Ha, ha, ha!

Szybko przeprowadzono dochodzenie. Ustalono, że Margaret Lachance wyjechała dobrowolnie. Powiedziano mi też, że nie mogę mieszkać dalej sama w Catskills. Że muszę opuścić jedyny region znany mi od małego i zamieszkać

w Nowym Jorku z ciotką, której nigdy wcześniej nie spotkałam.

W głębi duszy byłam przekonana, że mama mnie nie porzuciła. Ale nie miałam żadnego dowodu. Zapach siarki ostatecznie się ulotnił. Wrażenia z tamtej nocy również zbladły, aż w końcu przekonałam samą siebie, że to wszystko było wytworem mojej wyobraźni.

Nie wiedziałam, że cienie są nawiedzane przez demoniczne stworzenia, które wślizgują się z innego świata, aby odrywać kawałki naszego. Podobnie jak większość ludzi nie miałam pojęcia o istnieniu straszycel. Nie poznałam jeszcze Rity Perdido i jej tajemniczej agencji. Do tych niezwykłych wydarzeń doszło znacznie później, rok po tym, jak straciłam wszystko – mamę, dom i to, co łączyło mnie z dzieciństwem.